



Dydaktycy

Nowa ustawa o szkolnictwie wyższym przewiduje wprowadzenie stanowiska profesora dydaktycznego. Pomysł nie jest całkiem nowy. Już od dawna pracownika naukowego, który nie był w stanie zrobić habilitacji, a był ceniony jako dydaktyk albo z jakichś innych względów, można było przenieść na etat starszego wykładowcy. Nowe jest dowartościowanie takiego pracownika przez nazwanie go profesorem. Zapewne w intencji ustawodawcy profesorowie dydaktyczni powinni być dobrymi dydaktykami, ale określenie, kto jest dobrym dydaktykiem, nie zawsze jest łatwe. Problem jest ważny, bo jeśli wśród profesorów dydaktycznych znajdą się kiepscy dydaktycy, to – na mocy znanego prawa, że gorsza waluta wypiera lepszą – może się okazać po jakimś czasie, że kiepscy dydaktycy dominują. Nie wiem, przy jakim stężeniu kiepskich dydaktyków sytuacja robi się niebezpieczna, ale spotkałem się z analogicznym oszacowaniem dla pracowników naukowych. Doświadczony dyrektor instytutu powiedział mi kiedyś: „Jeśli liczba durniów przekroczy 30%, to dalej rozmnażają się w sposób niekontrolowany”.

Za arcydzieło dydaktyki w mojej dziedzinie uchodzą wykłady z fizyki Feynmana. Richard Feynman, niezwykle barwna postać i laureat Nagrody Nobla z fizyki, przedstawił te wykłady raz jeden dla studentów pierwszych dwu lat w Kalifornijskim Instytucie Technologicznym (Caltech). Ci studenci, wyselekcjonowani z rzeszy starających się o przyjęcie, należeli do ścisłej czołówki studentów amerykańskich. Słuchacze wykładów Feynmana wspominają, że studenci szybko się wykruszyli i wielka sala wykładowa wypełniła się pracownikami naukowymi. Sam Feynman napisał w epilogu do książkowego wydania tych wykładów, że skorzystało z nich dwudziestu czy trzydziestu studentów. Czy to jest dydaktyka dobra, czy zła? Jeśli naszym celem jest masowa produkcja absolwentów, to zła. Jeśli chcemy pomagać najlepszym, żeby stawali się jeszcze lepsi, to znakomita. W mniejszej skali takie pytania pojawiają się na każdej uczelni. Żeby na nie odpowiadać, trzeba wiedzieć, na jakim poziomie mają być zajęcia, a to zależy od poziomu kadry nauczającej i przyjmowanych studentów. Podanie jakiegś ogólnej recepty wydaje się bardzo trudne. Nawiasem mówiąc, podręcznik opracowany na podstawie tych wykładów przez dużą grupę doświadczonych fizyków okazał się światowym bestsellerem, ale to już inna historia.

Najlepszych dydaktyków można, z opóźnieniem, zidentyfikować na podstawie wspomnień ludzi wybitnych, którzy się z nimi w czasie studiów zetknęli. Takich znakomych dydaktyków jest niewielu; chyba nie spotyka się

ich dużo częściej niż wybitnych uczonych. Niektórzy są uznanymi uczonymi, inni do nauki nie wnieśli nic, czy prawie nic. Praktyczny problem przy obsadzaniu stanowisk profesorów dydaktycznych będzie jednak polegał nie na rozpoznawaniu dydaktyków wybitnych, ale na odróżnieniu dobrych od kiepskich. Nie jest to łatwe. Bardzo rzadko, jeśli w ogóle, spotyka się dobrych dydaktyków wśród ludzi, którzy bardzo nie lubią uczyć. Ale wśród tych, którzy lubią uczyć, są i tacy, którzy robią to fatalnie. Oceny parametryczne jakości dydaktyki też są wątpliwej użyteczności. Przystępność wykładu można dowolnie poprawiać, usuwając z niego trudniejsze punkty i redukując materiał, ale przecież nie o to chodzi. Podobnie procent studentów, którzy zaliczają z powodzeniem przedmiot, można dowolnie regulować, zmieniając wymagania. Może najwięcej informacji dają ankiety studenckie, ale trzeba pamiętać, że odbiór zajęć przez studentów słabych jest inny niż przez studentów dobrych. Wykład z wieloma powtórzeniami i małą ilością materiału może się bardzo podobać słabym studentom, ale dobrzy zobaczą, że dla nich to jest strata czasu. Pozostaje tradycyjna metoda oceny: skoro ludzie kompetentni mówią, że to jest dobry dydaktyk, to pewno jest. I wszystko będzie zależało od kompetencji i bezstronności tych „ludzi kompetentnych”.

Z optymalizacją procesów dydaktycznych wiąże się jeszcze następujący ważny problem. Nieuchronnie poziom analogicznych zajęć jest różny na różnych uczelniach. Narzuca się pytanie, czy należy także na jednym kierunku studiów jednej uczelni wydzielać grupy złożone z najlepszych studentów i dawać im lepsze wykształcenie? To rozwiązanie ma znane wady. Prowadząc ćwiczenia, widzi się, że są grupy dobre i grupy słabe. To jest znacznie lepszy opis niż twierdzenie, że wszystkie grupy są takie same i różnią się tylko liczbą dobrych studentów, którzy do nich trafilii. Dobrzy studenci podciągają całą grupę. Uczą się także dlatego, żeby było widać, że są dobrzy, a przy tym pomagają w pracy słabszym. W wydzielonej grupie najlepszych studentów, większość z nich nie będzie mogła zabłysnąć, więc ich zapał do nauki może osłabnąć. Z drugiej strony, z różnych przyczyn, poziom studentów na wielu kierunkach się obniża. Stworzenie grup z najlepszych studentów może być jedynym sposobem zapewnienia, przynajmniej niektórym, wykształcenia na dobrym, światowym poziomie. Jeżeli wśród maturzystów będzie rozchodzić się wieść, że nasze uczelnie takiego wykształcenia nie dają, to najlepsi będą go coraz częściej szukać za granicą, a to spowoduje większe straty niż utworzenie osobnych grup z najlepszych studentów.

KACPER ZALEWSKI
członek czynny PAU

